



Wybory amerykańskie i polityka zagraniczna

Jadwiga Kiwerska

Może dziwić fakt, że stosunkowo niewiele miejsca w debatach towarzyszących prezydenckiej kampanii wyborczej w Stanach Zjednoczonych zajmuje polityka zagraniczna. Zarówno w wypowiedziach poszczególnych kandydatów, ich wzajemnych polemikach, a także w dyskusjach toczonych w mediach temat ten jak dotąd pojawiał się rzadko lub sprowadzał się do ogólnych sloganów i chwytliwych haseł, których celem było zazwyczaj jedynie wyróżnienie się na tle konkurentów.

A przecież przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych będzie dysponował szerokimi kompetencjami w zakresie kształtowania i realizowania amerykańskiej polityki zagranicznej. Można powiedzieć bez większej przesady, że jest to władza ogromna, ograniczona w kilku jedynie punktach uprawnieniami Kongresu. Dotyczą one m.in. prawa zablokowania podpisanych przez prezydenta traktatów i umów międzynarodowych (zgodę na ich ratyfikację udziela Senat większością 2/3 głosów). Senat musi też zaaprobować udział amerykańskich wojsk w interwencji za granicą, gdy działania te trwają dłużej niż 60 dni, ale inicjować akcje zbrojne może już sam prezydent jako wódz naczelny. W tym kontekście liczy się również fakt, że to Kongres określa ostatecznie wysokość budżetu obronnego państwa (podobnie jak całego budżetu federalnego).

Jakkolwiek te uprawnienia władzy ustawodawczej mogą wpłynąć na sposób i zakres realizowania polityki zagranicznej oraz polityki bezpieczeństwa państwa amerykańskiego, to jednak skala uprawnień gospodarza Białego Domu pozostaje i tak ogromna. Dlatego wiele, a może nawet niemal wszystko zależy od jego wizji roli Ameryki w świecie, przyjętych priorytetów, świadomości uwarunkowań, wreszcie predyspozycji przywódczych i odwagi w działaniu. To są czynniki, które wpływają bezpośrednio na charakter prowadzonej strategii zewnętrznej, nierzadko przesądzając o jej powodzeniu.

Redakcja:

Radosław Grodzki

Jacek Kubera

(redaktor naczelny)

Piotr Kubiak

Krzysztof Malinowski

Korekta:

Hanna Różanek

Nr 226/2016

14.03.16

ISSN 2450-5080

Biuletyny dostępne

także dzięki:

NEWSLETTER IZ

FACEBOOK

SCRIBD

LINKEDIN

TWITTER

Wagę problemu zwiększa świadomość tego, że mówimy nie tylko o przywódcy Stanów Zjednoczonych, ale o liderze w skali światowej. Prymat Ameryki na arenie międzynarodowej, chociaż nieco nadwerężony oraz kwestionowany, pozostaje faktem. Wprawdzie osłabła amerykańska zdolność czy wola kreowania sytuacji międzynarodowej i rozwiązywania problemów globalnych, mniejsza jest też gotowość USA do podejmowania wyzwań oraz ograniczona skuteczność ich działania. Jednak Ameryka jako przywódca współdziałający z innymi partnerami, wykorzystujący w sposób rozważny i adekwatny dostępne jej środki i metody działania, wydaje się najlepszym gwarantem stabilności w świecie.

Stąd znaczenie tego, co o polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych, ich roli i odpowiedzialności za ład w świecie mówią ubiegający się o nominacje partyjne potencjalni kandydaci do Białego Domu. Stąd pewne rozczarowanie, że tej polityki zagranicznej na dotychczasowym etapie walki o prezydenturę jest tak mało. Albo też przeraża fakt, że wypowiedzi niektórych pretendentów do najwyższego urzędu w państwie brzmią groźnie dla przyszłej roli Ameryki w świecie i tym samym ładu międzynarodowego.

Jednak z amerykańskiej perspektywy nie ma w tym nic dziwnego, że inne tematy i problemy niż sprawy zagraniczne angażują uwagę i dominują w przedwyborczej narracji, zwłaszcza na etapie *primary*. Tradycyjnie w walce o Białą Dom polityka zagraniczna jako przedmiot zażartej dyskusji czy potyczki rozstrzygającej o ostatecznym wyniku nie odgrywa pierwszoplanowej roli. Jeśli już, to najczęściej wtedy, gdy była obiektem ostrej krytyki pod adresem urzędującego prezydenta i dobrze służyła deprecjonowaniu jego dorobku. Z taką sytuacją mieliśmy do czynienia na przykład w 1920 r., gdy to zaangażowanie Thomasa W. Wilsona na arenie międzynarodowej, a zwłaszcza wprowadzenie Stanów Zjednoczonych do I wojny światowej, stanowiące pogwałcenie „świętej zasady” izolacjonizmu, przesądziło o wyniku wyborów prezydenckich - zwycięstwo odniósł kandydat z konkurencyjnej Partii Republikańskiej, opowiadający się za trzymaniem Ameryki z dala od problemów światowych, zwłaszcza europejskich.

Można też przypomnieć 1992 r., gdy demokratyczny kandydat William J. Clinton swą kampanię wyborczą prowadził pod hasłem *It's economy, stupid*, co było nie tylko chwytliwą trawestacją izolacjonistycznego sloganu Republikanów z 1920 r. *America First*, ale też formą krytyki urzędującego prezydenta George'a H. W. Busha, skoncentrowanego na polityce zagranicznej. Zwycięstwo Clintona wydawało się potwierdzać, że Amerykanie chcą prezydenta, którego uwaga skupi się na wewnętrznych problemach kraju. Dlatego nie przeszkadzał im brak jego doświadczenia w polityce zagranicznej, bardziej docenili kompetencje i zapowiedzi Clintona odnoszące się do kwestii gospodarczych i społecznych.

Zresztą podobny manewr zastosował George W. Bush jr w 2000 r., gdy ze swojego dyletanctwa w kwestiach międzynarodowych uczynił korzystny dla siebie argument. Przekonywał, że do rozeznania zawitych problemów światowych służyć mu będzie ekipa kompetentnych i doświadczonych doradców, on zaś skoncentruje się na kwestiach wewnętrznych. Krytykując zaś Clintona za nadmierne zaangażowanie Ameryki w sprawy świata, sam obiecał większą wstrzeźliwość na arenie międzynarodowej. Powiadał: „Ameryka nie może być wszystkim dla wszystkich. Jesteśmy miłującym wolność krajem i jeśli będziemy aroganccy, to będą nas tak traktować, a jeśli będziemy skromni

(*humble*), będą nas szanować”. Zwycięstwo Busha nad reprezentującym linię Clintona dotychczasowym wiceprezydentem Albertem Gore’em mogło sugerować, że nastąpi powrót do polityki powściągliwej i ograniczonej w celach, skupionej na żywotnych interesach Ameryki.

Okazuje się zatem, że szumne zapowiedzi wyborcze odnoszące się do polityki zagranicznej są często ostro weryfikowane pod wpływem dynamizmu wydarzeń międzynarodowych. Przejmując odpowiedzialność za bezpieczeństwo Amerykanów oraz zobowiązania międzynarodowe, nowi gospodarze Białego Domu zmuszeni są korygować swoje cele, priorytety, a nawet metody działania. I tak okres urzędowania Clintona to czas niebywalej aktywności amerykańskiej w świecie, nawet interwencji zbrojnych za granicą. Z kolei atak Al-Kaidy na Amerykę w 2001 r. fundamentalnie zmienił podejście Busha jr. do amerykańskiego zaangażowania na arenie międzynarodowej. O powściągliwości nie było już mowy.

Wiele rozczarowań na polu polityki zagranicznej przyniosła też dobiegająca kresu prezydentura Baracka Obamy. Wiązano z nią nadzieję na odbudowę rangi Ameryki w świecie, osłabionej polityką Busha. Zresztą zapowiadał to kandydat Partii Demokratycznej na każdym niemal etapie kampanii wyborczej (*Yes, we can*). Tymczasem pierwszy czarnoskóry gospodarz Białego Domu zbyt często wykazywał się w polityce zagranicznej brakiem determinacji i odwagi nie tylko w działaniu, ale nawet w podejmowaniu decyzji. Efektem był dalszy spadek zaufania do skuteczności i wiarygodności Stanów Zjednoczonych, porażki dyplomacji amerykańskiej w konflikcie bliskowschodnim, brak sukcesów w wojnie z terrorystycznym Państwem Islamskim, wzrost agresywnych tendencji w polityce Rosji, wreszcie - jako konsekwencja pośrednia - kryzys migracyjny. Po prostu znaleźliśmy się w niezwykle trudnym momencie dziejowym.

Dlatego świat spogląda z takim zainteresowaniem, a trochę i przerażeniem na amerykańską walkę wyborczą, starając się z fragmentów wypowiedzi oraz analizy dotychczasowych działań opisać wizje polityki zagranicznej głównych kandydatów do prezydentury. Sytuację niezwykle komplikuje fakt, że obecna walka wyborcza ma niespodziewany przebieg, a niektórzy jej faworyci zaskakują, potęgując niepokój zagranicy. Najwięcej uwagi poświęca się Donaldowi J. Trumpowi, głównemu pretendentowi do reprezentowania Partii Republikańskiej w walce o Białą Dom. Nie ma się co dziwić - ekscentryczny miliarder swoim sukcesem zaskoczył wielu, podważając opinię, że człowiek nieprzewidywalny i bez doświadczenia politycznego nie przejdzie zwycięsko filtrującej procedury prawyborczej.

Można natomiast z pełnym przekonaniem stwierdzić, że to nie koncepcja polityki zagranicznej zadecydowała o dotychczasowym sukcesie Trumpa. Taka koncepcja zresztą nie istnieje. Wprawdzie jego hasło wyborcze - *Make America Great Again!* - jest powabnym dla wyborców odwołaniem do najlepszych sloganów o potęgę Ameryki, a nawet bezpośrednim nawiązaniem do hasła wyborczego Ronalda Reagana z 1980 r. (*Let's Make America Great Again*), ale nie zastąpi ono choćby ogólnego, ale spójnego poglądu na temat realizowanej przez niego po ewentualnym zwycięstwie polityki zagranicznej. Wypowiedzi Trumpa nie układają się w żadną koherentną całość, ale pobrzmiwają w niej tony zgoła groźne. Jak choćby wówczas, gdy - krytykując politykę Obamy wobec Rosji - zapewniał, że bez problemu może się dogadać z Władimirem Putinem, o którym mówił z uznaniem - „silny lider”. Abstrahuje przy

tym od uwarunkowań obecnego stadium relacji amerykańsko-rosyjskich i nie dostrzega zagrożeń ze strony Rosji, raczej widzi jej pozytywną rolę w Syrii.

Odnosząc się z kolei do jednego z największych zagrożeń współczesnego świata - terroryzmu islamskiego i jego najgroźniejszej emanacji, Państwa Islamskiego, Trump proponuje proste rozstrzygnięcie - totalne bombardowanie samozwańczego kalifatu, bez względu na ofiary wśród ludności cywilnej. Równie szybko chciałby się rozprawić z konkurencją Chin, wprowadzając specjalny podatek na towary chińskie, a także rozwiązać problem nielegalnych imigrantów, budując mur na granicy z Meksykiem. Wszystko to nie jest tylko wyrazem wyjątkowej bufonady Trumpa, ale dowodem, jak mało skomplikowany wydaje mu się świat i jak łatwo znajduje rozwiązania dla jego problemów. Może to być groźne i dla Stanów Zjednoczonych, i dla świata.

Równie niepokojąco brzmią w enuncjacjach Trumpa akcenty izolacjonistyczne. Choćby wtedy, gdy mówi on o kosztach związanych z obecnością militarną USA w Europie (a także Korei Płd.). Pyta, gdzie są Niemcy i inni nasi bogaci sojusznicy. Nawet jeśli wcześniej problem ten był już przez Amerykanów wielokrotnie podnoszony (np. przez sekretarza obrony Roberta Gatesa w 2011 r.) i z pewnością podoba się znacznej części amerykańskich podatników, to jednak stawianie go obecnie jest niebezpieczne. Może bowiem - zmuszając kontrkandydatów do podjęcia tego tematu w podobnym tonie - „zasiać złe ziarno” w podejściu USA do odpowiedzialności za ład międzynarodowy. Stąd już bliska droga do izolacjonizmu, mimo wszystko głęboko tkwiącego w świadomości przeciętnego Amerykanina. Czy nie nastąpi przededefiniowanie amerykańskich priorytetów i zwrócenie się wyłącznie ku żywotnym interesom Ameryki? Co będzie wówczas na przykład z umocnieniem wschodniej flanki NATO czy wspieraniem Ukrainy, a nawet ze stosunkami transatlantyckimi?

Na tle populistycznego stylu Trumpa sylwetka Hillary Clinton rysuje się znacznie mniej efektownie. Jednak atuty byłej senator Partii Demokratycznej i byłej sekretarz stanu na polu znajomości spraw międzynarodowych są niepodważalne. Zresztą niemal wszystko odróżnia ją od kandydata Partii Republikańskiej, z którym prawdopodobnie przyjdzie jej się ostatecznie zmierzyć. Jedyne co ich łączy, to ambicja i dążenie do władzy. Różni zaś przede wszystkim to, że Clinton jest politykiem przewidywalnym i rozsądnym. A to, biorąc pod uwagę zakres władzy amerykańskiego prezydenta, stanowi walor znaczący. Inteligencja, kompetencje i doświadczenie byłej pierwszej damy też nie podlegają dyskusji.

Można natomiast dyskutować nad jej dorobkiem jako szefowej amerykańskiej dyplomacji. Wprawdzie w latach 2009-2012 odwiedziła ponad 100 krajów, spędzając w podróżach łącznie ponad 400 dni, co dowodzi jej wyjątkowej pracowitości. Jednak nie zapisała się w pamięci jako kreator amerykańskiej polityki zagranicznej na miarę Henry'ego Kissingera, ale raczej jako lojalny wykonawca zamierzeń prezydenta Obamy. Z pełnym oddaniem próbowała realizować politykę „resetu” wobec Rosji, lecz zakończyło się to porażką, dowodząc pewnej naiwności amerykańskiej dyplomacji. Porażki jednak zapisywano na konto urzędującego prezydenta, podobnie jak jego sukcesy, a tych drugich w pierwszej kadencji Obamy było niewiele. Udało się może przywrócić Ameryce utracony w okresie prezydentury Busha autorytet, ale na przykład stosunki transatlantyckie pozostały nadal mocno osłabione. Ameryka dokonywała „zwrotu ku Pacyfikowi” i żona Billa Clintona, który swego czasu otrzymał zaszczytny tytuł „Euro-

pejczyka”, nie zdołała temu zapobiec. Stany Zjednoczone traciły sympatię państw Europy Środkowo-Wschodniej, w tym Polski, która czuła się dotknięta dość ostentacyjnym brakiem zainteresowania ze strony administracji Obamy. Wreszcie, z okresem jej urzędowania będzie się kojarzyć afera WikiLeaks, czyli upublicznienie tajnych dokumentów amerykańskiej dyplomacji.

Warto więc postawić pytanie, czy jako prezydent Clinton wykorzysta okazję i szerokie kompetencje, aby nadać polityce amerykańskiej odpowiadający czasom format. Czy jako przywódca Ameryki/świata podoła tym wyzwaniom i problemom, z którymi dzisiaj mamy do czynienia? Niewątpliwie jej ambicją byłoby wyrzucić bardzo silne piętno na amerykańskiej dyplomacji i pokazać Amerykanom/społeczności międzynarodowej, że nieprzypadkowo jako pierwsza kobieta została prezydentem Stanów Zjednoczonych. Zwłaszcza że może się swobodniej niż pozostali kandydaci ubiegający się o prezydenturę poruszać na arenie międzynarodowej. Nie tylko zna osobiście większość liderów głównych państw w Europie i świecie, co z pewnością będzie miało znaczenie dla osiągnięcia celów. Zdaje się też bardziej niż Obama zdecydowana w działaniu, gotowa do podejmowania zobowiązań w imię interesów i wartości. Dla niej polityka światowa jawi się bardziej jako gra mocarstw/przywódców niż postnarodowy zglobalizowany system.

Trzeba jednak zauważyć wyjątkowość obecnej sytuacji. Clinton walczy o nominację Partii Demokratycznej z senatorem Bernie Sandersem, który jeszcze bardziej niż Trump skłania się ku izolacjonizmowi. Ostro sprzeciwia się także wykorzystywaniu siły w rozwiązywaniu konfliktów, co - rzecz jasna - samo w sobie może być pozytywną postawą, ale w sytuacji zdominowanej tyłoma napięciami i kryzysami, jak obecnie, konieczności stawiania czoła takim przeciwnikom, jak Państwo Islamskie, byłoby to tendencją „przeciwnskuteczną”. Trudno też wyobrazić sobie powodzenie pomysłu budowy nowej organizacji na wzór NATO, ale z udziałem Rosji i państw arabskich, wspólnie mierzącej się z terroryzmem. Takich pomysłów, w których echem odbija się atmosfera antywojennych ruchów lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, dowodzących pełnego naiwności podejścia do problemów międzynarodowych, znajdujemy w wypowiedziach Sandersa więcej. Można by je zignorować, zakładając, że ich autor nie zdobędzie nominacji partyjnej.

Jednak Clinton będzie je musiała wziąć pod uwagę w ostatecznej batalii o Białą Dom. Chcąc pozyskać wyborców Sandersa, wśród których przeważają młodzi Amerykanie, porwani jego „socjalizującymi” i antysystemowymi hasłami, zostanie zapewne zmuszona do przejścia niektórych jego zapowiedzi. Dotyczyć to może także pomysłów na politykę zagraniczną, a raczej konieczności ograniczenia - wedle Sandersa - zarówno jej celów, jak i samego zaangażowania USA na arenie międzynarodowej. Czy będzie to miało przełożenie - w przypadku zwycięstwa Clinton - na jej strategię zewnętrzną, trudno przesądzić. Wpływ na to będą miały nie tylko charakter i tempo wydarzeń międzynarodowych, ale i nastroje społeczne Amerykanów. Ci zaś - zainteresowani wprawdzie silną Ameryką - coraz wyraźniej skłaniają się jednak ku izolacjonizmowi, a przynajmniej ograniczeniu jej aktywności w świecie na rzecz skupienia się na problemach wewnętrznych, których nie brakuje.

Dopełniając obrazu toczzonej obecnie kampanii wyborczej, należy wspomnieć o jeszcze dwóch kandydatach, których szanse na zdobycie nominacji partyjnej nadal

istnieją. Ted Cruz, senator z Teksasu, utożsamiany ze skrajnie konserwatywnym nurtem Partii Republikańskiej (związany z *Tea Party*), podobnie jak większość ubiegających się o Białą Dom, nie ma żadnego doświadczenia na polu polityki zagranicznej. Niewiele też o niej mówił, oprócz tego, że zgodnie z generalną linią Partii Republikańskiej ostro krytykuje politykę Obamy, uważając ją za nieskuteczną i osłabiającą pozycję Ameryki w świecie. Potwierdzeniem tego ma być porozumienie z Iranem, które - zdaniem Cruza - było błędem, groźnym dla Bliskiego Wschodu i interesów amerykańskich. Twierdzi: „Potrzebujemy nowego naczelnego dowódcy, który ciesząc się zaufaniem, przeciwstawi się naszemu wrogom”. Będzie to - zapowiada - działanie zdecydowane, ostre i skuteczne.

Z kolei senator z Florydy Marco Rubio, najsilniej wspierany przez establishment Partii Republikańskiej, na tle Trumpa i Cruza wydaje się przewidywalny i rozsądny. Co więcej, jako członek senackiej komisji spraw zagranicznych posiada niezbędną i cenną orientację w sprawach międzynarodowych, a polityki amerykańskiej szczególnie. W krytyce Obamy niewiele wprawdzie odbiega od swoich republikańskich konkurentów, jednak działając w Senacie, Rubio trzymał się konsekwentnie określonych zasad - ostrego przeciwstawienia się agresywnej polityce Rosji, wspierania Ukrainy, a także umocnienia obecności Stanów Zjednoczonych w Europie Wschodniej. Jeśli jeszcze zważymy fakt, że senator Rubio zdolny jest do współpracy z politykami Partii Demokratycznej, czego dowody dał podczas swej obecności na Kapitolu, to może to być kandydat optymalny, przynajmniej wśród republikańców: gwarantujący prowadzenie zdecydowanej, ale pozostającej w granicach rozsądku, polityki zagranicznej, zdolny do kompromisu, ale w określonych ramach, wreszcie podejmujący zobowiązania podtrzymujące wiarygodność Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej.

Cóż, byłby to niemal idealny kandydat - spełniający oczekiwania partnerów, a także odpowiedni do sprawowania urzędu z tak szerokimi prerogatywami. Ale czy realny?

Tezy zawarte w tekście wyrażają jedynie opinie autora.

Jadwiga Kiwerska - prof. dr hab., pracownik Instytut Zachodniego i Collegium Da Vinci w Poznaniu, historyk i politolog, specjalista w zakresie stosunków międzynarodowych, zwłaszcza polityki amerykańskiej.